№ 34. Warszawa, dnia 13 (25) Sierpnia 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalne, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

Z KRAJOBRAZÓW PODZWROTNIKOWYCH,

WEDŁUG

LUCYANA BIART'A.

Spolszczyła

WŁ. Z R. J.

(Dalszy ciąg.)

Zabłąkany! w puszczy palmowej... najniegościnniejszej ze wszystkich, gdzie wierzchołki tych drzew niedozwalają ci ujrzéć ani kawałka nieba, ani promyka światła dziennego, podobny wypadek jest dla nieszczęsnej ofiary powolnem a strasznem konaniem.

Prawda staje jej przed oczami w całej okropności, dusza najbardziej silna, w podobnym razie upada pod rozpaczą, jeżeli ślady zabłąkanego nie zostaną wprędce odnalezione. Trwoga, gdy go ogarnie, a ogarnąć musi niestety, obłąka umysł, zaciemni go zupełnie, zgniecie odwagę i męztwo. Biedna ofiara spieszy się, leci, zaczyna biegać w tę i tamtą stronę bez ładu i stale powziętego planu, co bardziej jeszcze wikła jej drogę.

Spieszy się... gnana przez strach, przez głód i pragnienie.

O! nieudolności instynktu ludzkiego, nieudolności umysłu człowieka, widma przed którémi uciekasz nie w tyle są ale przed tobą.

Są tuż przed tobą, u stóp drzewa pod którym padniesz prędzej czy później wyczerpany trwogą, znużeniem.

Jakież katusze ciężkie, jednakże poprzedzają ten ostateczny wysiłek, ileż po przed nim przerw strasznych.

Mrok ciemny puszczy w jakiej się błąkasz, staje ci się nocą, a wtedy spostrzegasz z rozpaczą żeś nieoględnie zapomniał wziąć materyałów niezbędnych do rozżarzenia ogniska.

Zgubiony w labiryncie drzew, bardziej jeszcze gubi się z zapadnięciem ponurych nocy ciemności.

Skazany na nieruchomość, czuje nieszczęsny i słyszy szelest czołgających się gadów wokoło siebie, czuje ich oddech na swej twarzy i muskanie skrzydeł nietoperza, lub krwi chciwego wampira.

Zrywa się wtedy, walczy z sennością, zamiast w niej czerpnąć swe siły. Złamany trwogą, zrozpaczony wzywa nadejścia dnia, który zdaje mu się jakoby spóźniać umyślnie. Liczy sekundy, minuty, godziny, znajdując, że one są długie jak wieczność te poprzedniki wieczności.

Świt wreszcie tak upragniony przybywa, z ukazaniem się jego zrywa się nieszczęsny i idzie.

Głowa ociężała bezsennością chwieje się na jego ramionach i pochyla naprzód jak u niemowlęcia, czuje, że mózg mu ołowiem ciążyć poczyna.

Idzie machinalnie, bez wytkniętego kierunku, potykając się co chwila. Nie broni się już przeciw owadom jakie dowolnie tłumami twarz mu obsiadają, raniąc ręce swym kłuciem zatrutym. Wkrótce opuchły, poraniony, czuje, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa.

Głód szarpie wnętrzności, pragnienie usta wypala, oczy kryją się pod ciążącemi powiekami i tracisz władzę widzenia.

Upadając nieszczęsny, walczy jeszcze, chce powstać... niestety! wkrótce nadejdzie chwila, w której niepowstanie więcej!

Niepowstaniesz! Duch twój zapragnie opuścić ziemię, by żyćtam, wyżej... w niedojrzanych niebiosach życiem doskonałem, do jakiego ciało dotąd wznieść ci się niedozwalało.

On potęguje teraz swą siłę i wzniesie cię zwolna przed oblicze Boga. Korząc się przed wyobrażeniem Stwórcy ukrzyżowanego, wzywasz dla siebie Bozkiego Jego miłosierdzia, a czując blizko tę część nieśmiertelnego szczęścia obiecanego tym, którzy kochają, jak Zbawiciel kochał i cierpią jak On cierpiał, w niezrównanej rozkoszy upadasz przed Nim w pokorze! Wspomnienia tych obaw zabłąkanego w puszczy, połączonych z rozpaczą, tych nieśmiertelnych nadziei, napełniały mój umysł gdym postępował zwolna w głąb' lasu za mym przewodnikiem Indyaninem.

Z nabitemi w rękach strzelbami, szliśmy w pewnej odległości jeden od drugiego, ażeby nasze spojrzenia objąć mogły szerszą przestrzeń gruntu, badając w przejściu każdy spód drzewa.

Od czasu do czasu, każdy z nas przykładając do ust rękę wydawał przedłużone wołanie, które rozpływało się w przestrzeni, nie wywołując niestety żadnej odpowiedzi. Przestankami, bębnienie jakie słyszeliśmy początkowo huczéć przestawało.

Niezawodnie poszukiwacze słuchają i śledzą, tak jak my słuchamy. Nagle bębnienie wybucha na nowo, a hałas jego jest mi podwójnie bolesnym.

Nie odnaleźli go więc jeszcze... ktoś umiera zabłąkany w puszczy, a wiem jak straszną, jak okropną śmiercią!

I przed memi oczami łzą zwilżonemi, staje obraz człowieka w ostatnich chwilach jego istnienia.

Wspomnienia dzieciństwa, wspomnienia rodziny, ukochanej a oddalonej ojczyzny, jakie daremnie odegnać usiłuje, stoją może w chwili tej po raz ostatni przed jego wzrokiem gasnącym.

Nagle spostrzegam w oddaleniu nieznajomego sobie Indyanina, który dojrzawszy nas, wydał krzyk głośny, jaki echo daleko rozniosło w przestrzenie.

Bęben i piszczałka milkną natychmiast, a w pięć minut potem znajdujemy się zebrani razem, ja z moim towarzyszem otoczeni dwudziestoma mieszkańcami Akula. Zadawane pytania krzyżują się wzajem, odpowiedzi na nie są krótkie.

Przewodnik mój nie omylił się, ci których spotykamy, spieszą za poszukiwaniem młodej Indyanki z ich wioski. Wyszedłszy przed wczoraj z koszem owoców na sprzedaż do Casamaloapam, nie powróciła więcej. Czy noc zaszła ją w puszczy, czy się zabłąkała, lub stała pastwą czarnego tygrysa, plądrującego w okolicy? Od dwóch dni poszukują jej daremnie! Szczegóły te udzielonemi nam zostały przez jednego ze starszych Indyan z Akula, podczas gdy ojciec nieszczęsnej słuchał ich w niemym smutku i rozpaczy.

Nieszczęśliwy wypytuje nas, czy niedostrzegliśmy gdzie jakich śladów. Niestety! nic pocieszającego donieść mu nie możemy! Bęben brzmi na nowo, piszczałka rozbrzmiewa ostrym swym dźwiękiem, Indyanie rozsypują się po puszczy, w czem my obadwa z mym przewodnikiem, przyjmujemy udział. Każdy musi stosować swe kroki do kroków swego sąsiada, ani na chwilę nie tracąc go z oczu i odpowiadać głośno na wzywanie jego.

Po każdym tętnieniu bębna, po każdym dźwięku piszczałki, zatrzymujemy się, aby słuchać pilnie, ażeby słuchać w milczeniu pełnym grozy, jakie przerywa jedynie własne uderzenie serca, lub szum skrzydeł ptaszych na wierzchołkach drzew, pod któremi przechodzim, wznoszących swe szczyty ku niebiosom prawie.

Dane hasło zespala nas razem, starzec przewodniczący poszukiwaniom, podnosi drżącemi rękami w górę znaleziony szczątek kukurydzy. Skupiamy się obok niego, każdy chce z blizka widziéć, egzaminować przedmiot, następnie miejsce na którym on dostrzeżonym został. Ni kłos jednakże, ani grunt nic nie objaśniają i kierunek naszej drogi zmienionym zostaje. Wchodzimy na ścieżkę znaną dobrze wszystkim mieszkańcom wioski, którą zapewne musiała biedz biedna zabłąkana.

O! radości... idący przodem dostrzegli ślad, dalej nieco rzucony kwiat zwiędły... idziemy więc szybciej obraną ostatnio drogą. Zwolna, przed nami, daje się dostrzedz, iż ciemność panująca w puszczy staje się mniej grubą.

Tak! przenika tam dzień... słońce!

Zdaje mi się, że się zbliżamy po nad brzeg rzeki Salado i w rzeczy samej, stajemy nagle na piaszczystej przestrzeni po nad wodami jeziora.

Na lewo o dwieście metrów od miejsca gdzie się znajdujemy, trzy sępy, ponure sygnały śmierci, szybują po nad palmami. Wchodzimy znów w puszczę, kierując się za biegiem wody, ku miejscu przez żałobne ptaki oznaczonem. Spłoszywszy stado drapieżników, które na widok nasz z głuchym szelestem skrzydeł uciekają, staję najpierwszy przy ich zdobyczy, w miejscu gdzie leży młoda Indyanka.

Pod wyniosłą palmą spoczywa ona, martwa, nieruchoma, z wyciągniętemi rozpaczliwie przed siebie rękami.

Oh! ten gest, ta twarz cierpiąca, nie! nie jestem w stanie opisać tego widoku, jaki w całej grozie stanął przed memi oczami!

Boleść Indyan bywa zazwyczaj milczącą, jęczéć ni płakać nie umieją. Wszyscy otaczają mnie, stają w odrętwieniu. Żadnych uwag, żadnych zapytań.

Ojciec nieszczęśliwej ofiary ukląkł przy niej, wziął jedną z rąk jej w dłoń swoją. Wpatrując się z bólem w jej nieruchome oblicze, jak skamieniała statua rozpaczy, drugą ręką kopie dół w ziemi. Podają mu dłonie, odpycha je, mówią do niego... nie słyszy!

Ah! jakże są przeszywającemi boleści bez łez, jak wstrząsają człowiekiem te bóle nieme!

Na rozkaz dany ścicha przez przewodniczącego poszukiwaniom, biedne bezwładne ciało Indyanki, w której włosach tkwi jeszcze niezwiędły kwiat orchidei, kładą na nosze z gałęzi utkane.

Przewodniczący wzywa głośno jej ojca, który się podnosi.

Jemu służy prawo niesienia żałobnych mar ze zmarłym dziecięciem. Wkładają mu je na plecy i nieszczęśliwy udaje się z niemi w pochód ze spuszczoną głową. Zebrani dziękując mi za pomoc w poszukiwaniach, zapraszają mię na uroczystość, jaka poprzedza zwykle pochowanie zwłok zmarłej.

Znając smutne te sceny, jakie nieodłącznie w nich sponiża pijaństwo, wymawiam się od tego zaszczytu, tłomacząc pilnym interesem do Casamaloapam, by nie obrazić nikogo. Wkrótce zostałem sam z moim przewodnikiem i z wolna wracamy ku stronie jeziora. Wierny towarzysz mój jest smutnym nieco z przyczyny, iż nie weźmie udziału w uroczystości żałobnej, na którą był zaproszonym.

Nie okazuje on jednak żadnej niechęci ku mnie z tej przyczyny. Mniej zrezygnowanemi okazują się sępy spłoszone chwilowo.

Wysoko, tam, pod obłokami, zakreślają one kręgi spiralne, towarzysząc pochodowi niosącemu odebraną sobie zdobycz.

Przybywszy po nad brzeg wody, rozpatruję jezioro, ponury widok jego nie przyczynia się bynajmniej do rozweselenia mych myśli. Wokoło ściśle obrastają je palmy, a ciemno szare ich gruppy odbijając się w nieruchomej powierzchni wód, czynią ją czarną prawie.

Żadna z roślin nie zielenieje na tej piaszczystej przestrzeni, żadna z traw nie pływa po powierzchni wody, która gdym umaczał w niej rękę i poniósł ją do ust, przypomniała mi ciężkością i smakiem swym morską wodę.

Spostrzegłszy z dala szałas, kieruję się z mym przewodnikiem ku niemu. Ujrzany z blizka przedstawia schronienie uwite z liści palmowych na czterech słupach oparte. Pod dachem tegoż, pod który chcąc wejść, do połowy zgiąć się potrzeba było, wiszą zapomniane czy pozostawione na zapas kawałki wędzonego mięsiwa.

Na jeziorze od którego oddaliłem się o czterdzieści kroków, widzę bujający się rodzaj czółna, tak zwaną pirogę.

Widok jej pociąga mnie, siadam w łódź, odpychając ją ku środkowi. Woda ołowianego koloru z dala, widziana z blizka staje się przezroczystą prawie.

Jestże to z przyczyny gruntu? czy jakiej komunikacyi podziemnej z morzem, iż nabrała tak cierpko słonego smaku? Jakim gatunkom ryb służy ona za schronienie? Płynę dalej i spotykam się z gromadą kajmanów. Suną one z biegiem wody to się chowają, to wypływają znowu.

Jestże to podejściem, czy zabawą z ich strony? Przepływają to obok, to spodem mej łodzi, którą przewrócić i zatopić mogłyby jednym uderzeniem.

Sądząc, że przymierze pokoju między ich rasą a moją dawno już zerwanem zostało, jeżeli kiedyś istniało ono, zwracam me czółno do brzegu.

Wysiadłszy znajduję mego Indyanina zajętego oczyszczaniem chaty.

— Idziemy zaraz! — wyrzekłem.

On, wskazując mi na wschodnią część nieba odpowiedział:

— Za godzinę noc zapadnie, senor, a trzeba nam dwóch godzin przynajmniej na przebycie palmowego lasu, nie lepiejże więc tu przenocować aniżeli w puszczy?

Spoglądam na horyzont, noc w rzeczy samej się zbliża, mą słuszność, lepiej tu przenocować, odrzekłem.

Biedna młoda Indyanka! wspomniałem, głód był pewnie jedną z głównych przyczyn jej śmierci, a według zwyczaju jej współziomków najlepsze potrawy zastawionemi zostaną około jej ciała przy pogrzebowym obrzędzie. Umarła z głodu, z kwiatem w skroni, kwiatem smutku i trwogi, zimna, nieruchoma przewodniczyć będzie uczcie wesołej.

Pomagam memu towarzyszowi do ułożenia z liści posłania i rozniecenia ogniska, co uczyniwszy, zdejmujemy kawałek suszonego mięsa, wiszącego pod dachem, płócząc starannie w wodzie ów skromny posiłek.

Liście, które się tlą bardziej niż palą płomieniem, wydają dym ostry, białawy, który jeśli nie szkodzi przyrządzaniu naszego befsztyku, odgania przynajmniej od nas szkodliwe owady.

(*Dokończenie nastąpi.*)

Z piosnek jesiennych.

Wartoż wam było, róże, kwitnąć po raz drugi
I zawierzać zwodniczym uśmiechom jesieni,
Gdy już prądy zniszczenia zawiały w przestrzeni,
Zbladł listek, a po niebie czarne krążą smugi.

Zaledwie na świat wyjrzał pączek jeden, drugi,
I skosztował słodyczy słonecznych promieni,
Mdleje, dreszczem przejęty; cień go skrywa długi
I ludzie nań z litością patrzą, zasmuceni.

Lepiej wam było, dolę znosząc swą sierocą,
Dla uroczych zachwytów jednej jasnej chwili,
Wiosennych uczuć kwiatu nie wkrzeszać przemocą;

Dziś wspominając słońca promień, wdzięk motyli,
Krzak pusty i samotny na spokój się sili,
A wicher niem okrutny wstrząsa chłodną nocą.

Emilia.

PRZESILENIE.

PRZEZ

Maryę Napieralską.

(Dalszy ciąg.)

Horcia milczała a ja odeszłam kilka kroków od barona, aby nie dostrzegł na mej twarzy niesłychanego zajęcia, jakie rozbudziła we mnie ta rozmowa. Baron stał na miejscu przykuty.

— Mamo — ozwała się nakoniec córka, zimnym jak stal głosem — bądź pewną, że nie zawiodę twych nadziei, jakie złożyłaś w mem wychowaniu. Pojmuję aż nadto dobrze, czem musi być zniweczenie najdroższych planów. Ziszczę je przez wzgląd dla ciebie, choćby mi serce miało pęknąć. Nie zapomnę nigdy, co dziecko jest winne swej matce. Proszę tylko, niech mama będzie spokojną o mnie.

Rozległ się szelest kroków. Przez salon, w jakim się znajdowałam z baronem, przeszła Hortensya, nie widząc nas jednak. Przeszła jak zwykle wyniosła i pewna siebie, tylko twarz jej była tak bladą, jak gdyby wszystka krew z niej uciekła.

Czyżby go ona kochała? Podejrzenie to sprowadziło mi zawrót w głowie. Nie zdawałam sobie wówczas sprawy, jakie miano należy nadać doznanemu przezemnie uczuciu. Odznaczało się ono jakimś rzewnym żalem, jakąś zawiścią do mej kuzynki. Zaczęłam jej nielubić.

Pogrążona w nowym napływie myśli, nie spostrzegłam, że baron znajdował się już przy żonie.

— Wando, słyszałem wszystko. Powiedz, czy byłabyś przeciwną związkowi między naszą córką i Witalisem, jeśliby naturalnie zapragnęli połączyć się z sobą na całe życie?

Pytanie to nie należało przecież do pytań nadzwyczajnych, gdyż kwestye podobne często są roztrząsane w domach, gdzie panny na wydaniu. Baron przemawiał zwykłym sobie sposobem: łagodnie, szybko, stanowczo, a jednak zatrzęsłam się cała. On mówił tak, jakby już chciał błogosławić ten związek. Uczułam okropne ściśnięcie gardła, potem szalony ból jakiś rozszerzył serce, skronie pękały, cała cieplarnia zakręciła się dokoła.

— Karolu, jakie miałbyś dane na pozwolenie połączenia się tych dwojga?—pytała znów baronowa głosem o jeden ton wyższym, niż zazwyczaj. — Chciałbyś go przyjąć za zięcia?

— A ty, czy nie chciałabyś? Wszakże to dopiero w ciągu tyloletniego naszego pożycia, pierwsza może kwestya, obrobieniem jakiej musimy zająć się oboje. Chociażby Witalis był biednym człowiekiem, to mimo ważności, jaką przywiązuję do zasobów materyalnych, odstąpiłbym na rzecz szczęścia jedynaczki.

Otworzyły mi się oczy na prawdziwą postać barona. Człowiek ten zajęty wiecznie spekulacyami pieniężnemi, odrzucał nagle wszelką interesowność, rozumiał serca młodych. Przekonałam się wówczas o istnieniu ludzi, w których nie domyślamy się ogniska uczuć, aż gdy objawią się niespodzianie, nieoczekiwanie nawet, wtenczas podziwiamy.

— Witalis ma ładny, ziemski majątek, dziedzictwo po swoim ojcu, który bawi ciągle za granicą. Może pamiętasz tego mężczyznę, wybitnie pięknego bruneta? Pokazywałem ci go w Paryżu.

Baronowa milczała, on zaś ciągnął dalej:

— Przypomnij sobie, Wandeczko. Był to żywy portret dzisiejszego Witalisa. Pokazałem ci go na kilka sekund zanim ci się słabo zrobiło. Było to w ogrodzie Tuillerie. Mówiłaś później, że suknia była zaciasna.

— Nie pamiętam — wyszeptała baronowa.

Dlaczego w tych dwóch słowach zabrzmiał subtelny odcień zmieszania. Uszedłby on bezwątpienia uwagi innych osób, ale nie mojej. Ogólne zdenerwowanie zaostrzyło czułość wszystkich zmysłów.

— Witalis dałby Hortensyi stare, znane nazwisko, a młodość, pociąg wzajemny, pozwoli zakosztować im szczęścia w pełni.

— Karolu, gdyby on dzierżył berło najwspanialszego monarchy w całym świecie, choćby Hortensya miała go ukochać nad wszystkich, nie połączą się przecież nigdy, nigdy dopóki ja żyję.

Namiętny ten wykrzyknik, boleśnie jakoś zadrżał w powietrzu.

— Czyżbyś podeptała los swej córki? — zagadnął baron głucho, jakby oniemiały gwałtownością żony.

— Albożmało partyi miałaby ona? Wprawdzie zdaje się nie dbać o odbieranie hołdów, ale ta maniera właśnie ściąga jej najwięcej wielbicieli. Gdy chce, umie być czarującą. W całym salonie wówczas nie znalazłaby się ani jedna panna, zdolna przewyższyć ją, ani nawet rywalizować.

Strzała zazdrości przeszyła mię na wskroś po wysłuchaniu słów ciotki. Postanowiłam za jaką bądź cenę uzyskać względy pierwszego mężczyzny, za którym zwróciły się najpierw moje oczy, a w następstwie uderzyło serce. Odebrać Witalisa, odebrać go dla siebie!

— Wando! co masz jemu do zarzucenia?

— Dla każdej innej dobry, dla mojej córki nie — odparła krótko zapytana.

— Jest-to przecież mężczyzna, który posiada wszelkie warunki uszczęśliwienia, wybranej przez siebie kobiety. W uniwersytecie należał do najzdolniejszych studentów, później mógł się zwać niemal wzorem młodzieży, od czasu zaś bywania w naszym domu, t. j. od roku, nie popełnił nic, coby pod jakimkolwiek względem godne było nagany. Dobrze wychowany, taktowny, ukształcony, będzie umiał poprowadzić dom na wysokiej skali. Nie oświadczył się jeszcze oficyalnie, wszelako nie obojętnem okiem spogląda na Horcię. Przewiduję blizką chwilę ostatecznego wystąpienia. Miłość rodzi niecierpliwość. Wiesz Wandeczko, jak cię kochałem i kocham, choć nie posiadałem przecież z twej strony całej wzajemności. Gdy byłem młody, już o posiadaniu ciebie, o jeden uśmiech, o jedno spojrzenie walczyłbym życiem swojem.

Poczciwy, szlachetny baron, pomyślałam sobie.

— Dziś wiem, żem stary, brzydki, niepodobny w niczem do ciebie. Wiara w twą szlachetność, rozsądek odpychała wszelkie podejrzenia, mogące nasunąć się niekiedy, widząc cię licznie otoczoną przez mężczyzn. A teraz Wando, miałżeby twój rozum zawieść mnie. Stoję zdumiony przed tobą i pytam za co odepchniesz Witalisa.

— Nie mówmy o tem dłużej, Karolu. Witalis prawdopodobnie nie oświadczy się wcale. Rozumie dlaczego postępuję z nim na stopie najmożliwiej chłodnej i wiem, że zawsze odbiorę mu odwagę, choćby jej posiadał największy zasób. Jeśli nie zaprzestanie swych częstych wizyt, będę zmuszoną wymówić mu dom.

Dlaczego, pomyślałam znów, ciotka nie uczyniła tego oddawna? Dlaczego tak długo znosi widok człowieka, o którym mówi, że jest jej niemiły? Jaka zagadka leży na tajemniczem dnie duszy tej kobiety?

— Pamiętaj, Wando, że Horcia nie znajdzie odpowiedniejszego męża dla siebie. Oni jakby stworzeni...

Przybycie jakiegoś gościa przerwało ich rozmowę.

Wzruszona, drżąca cała pobiegłam w kierunku zajmowanych przezemnie pokojów. Zatrzymałam się na wschodach drugiego piętra, przyciskając wznoszące się gwałtownie piersi.

Jestem szalona, zajmując się tym, który nie uczynił wobec mnie nic takiego, coby można brać nie za wynik najzwyczajniejszej sympatyi. Byłam szaloną, uważając krótkie rozmowy z nim, niekiedy zwracanie się ku mnie z jakiemś miłem słówkiem, uśmiechem, w wyższem rozumieniu, niż to miało miejsce w rzeczywistości. Oh! wywalczyć sobie sercem jego serce, być ukochaną przez niego. Niech to niebo, o jakiem wspomniał baron, Witalis otworzy dla mnie, nie dla Hortensyi. Co ona też robi w tej chwili? Pewnie stroi się na koncert.

Gdy lekko, niepostrzeżenie podniosłam aksamitną portyerę u jej drzwi, obraz Małgorzaty Goethego widziany kiedyś, stanął mi w oczach żywo. U stóp Madonny Murilla, w kornej postawie, klęczała baronówna. Też same silne, a utoczone jak dłutem Kanowy, ręce splecione rozpaczliwie, też same okrągłe, alabastrowe ramiona, ściągnięte jakby od bolesnego łkania. Ona, pozornie nieugięta, cierpi i modli się, a ja na ten widok uczuwam jakąś dziką radość.

Ja cierpiałam ciągle, niech i ona zazna goryczy. Życzenie podobne było szczytem egoizmu, ale stosownie do tego co powiedziałam sobie powyżej, byłam szaloną dziewczyną.

Garderobiana przybyła mi z pomocą do tualety wieczorowej, nie mogła utaić swego zadziwienia, widząc krwiste rumieńce na mej twarzy.

— Zapewne panią głowa boli? taka rozpalona — mówiła przy czesaniu.

Nie myliła się. Głowę moją objął najgorętszy płomień namiętności.

Koło godziny dziewiątej, turkot licznie zajeżdżających powozów, ciągłe brzmienie głosów na dole, bezustanna krzątanina w tamtej stronie, dawały znać o niedługo mającym się zacząć koncercie.

Trzeba mi być dziś piękną, myślałam ubierając się, przewyższyć koniecznie Hortensyę. Trzeba się śmiać wesoło, chociażby serce pękało, muszą się oczy błyszczeć, chociażby łzy miały wypalić źrenicę. Z gorączkowem ożywieniem zaczęłam się ubierać. Sztuczny zapał podniecał mię do najwyższego stopnia. Opadły mi przecież ręce, gdy przedemną stanęła baronówna, piękna jak senne

marzenie. Purpurowe zwoje jedwabiu otaczały wyniosłą postać, niby płaszczem królewskim. Barwne koronki osłaniały z lekka kształtne ramiona, przepyszna szyja połyskiwała białością łabędzią. Włosy ułożone były na sposób, jaki daje się niekiedy spotykać na głowach posągów. Żółta, chińska róża tkwiła przy piersiach, tym samym kwiatem osypana suknia wyglądała znakomicie. Czyżby te chińskie róże stanowiły odpowiedź na słowa Witalisa, wymówione w cieplarni, o tajonych, gorących uczuciach? W ich-że to symbol przystroiła się rozmyślnie?

— Ocknij się, kuzynko, wydaj sąd o mojej tualecie. Chodź!

I pociągnęła mnie z sobą do zwierciadła. Ubrana biało, zdawałam się dzieckiem być przy niej, pączkiem polnego kwiatu, paziem królowej. Spojrzałam na jej śliczne ręce, zalane krwią rubinów, na wachlarz siejący iskry brylantowe i zawołałam z przejęciem:

— Wyglądasz, jak monarchini. Taką postać musiała mieć Semiramida, której dusza uleciała gołębicą do nieba.

— Nie jestem białym, niewinnym gołąbkiem, o! nie, kuzynko — odpowiedziała potrząsając głową.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Małżeństwo jakich wiele, komedya w 4-ech aktach, przez Ignacego Kliszewskiego.

Małżeństwa nie zawsze bywają szczęśliwe. Często mąż opanowany przez swoją połowicę jęczy w srogiej niewoli, lub też traci pod pantoflem własną samoistność, często także dzieje się wprost przeciwnie. Tę ostatnią alternatywę dozgonnych związków obrał pan Kliszewski za temat komedyi i przedstawił nam epizody z życia niedobranej pary, w której wszystkie winy leżą po stronie małżonka. On hula po za domem, marnuje majątek na kobiety upadłe moralnie, ona znów przygnębiona cierpieniem, znękana smutnym losem, boleje nad swoją dolą. Dotąd wszystko dobrze, ażeby jednak przedstawiony obraz posiadał cechy prawdy, potrzeba konsekwentności w przeprowadzeniu intrygi i jednolitości w utrzymaniu charakterów działających osób, chcąc zaś go uczynić zajmującym należy nie grzeszyć mieszaniem niepotrzebnych szczegółów i nie przeciągać nadmiernie biegu akcyi.

Najprzód co do pierwszego. Jakkolwiek przyznać musimy, iż małżeństw takich jak państwa Trębackich jest wiele, a może nawet za nadto na świecie, lecz w żadnym razie zgodzić się nie możemy, ażeby mężowie ze sfery zwłaszcza inteligentnej, w podobnie cyniczny i grubiański sposób ujawniali swe narowy i wady, tak łatwo ulegali wpływom lada jakiej wszetecznicy, a nareszcie tak nagle przy lada okoliczności przemieniali swój sposób widzenia rzeczy.

Charakter żony lepiej jest utrzymany, ale sympatya, którą autor chciał dla niej zdobyć u widzów, istnieć nie może. Nie wielka to bowiem zasługa odrzucić zaloty takich lowelasów jak owi zalotnicy, każda inna mniej nawet cnotliwa od pięknej Ludwiki kobieta, to samo by uczyniła, choćby tylko z obawy śmieszności. Innemi bywają najpospolitszego nawet gatunku kandydaci na uwodzicieli, jak podszyty skórką zajęczą Charcicki, albo nudny pedagog Rozpędowicz.

Co do drugiego. Uwaga widza jest rozrywaną mnóstwem najmniejszego związku z całością sztuki niemających szczegółów: tu rezolutna Henia, córka wygadanej pani Trajkockiej, wykrada nieśmiałego Warwicza, nasuwając mimowolnie pytanie, jakim cudem tyle sympatyczna osóbka mogła pokochać podobnego niedołęgę, tu znowu śmiertelna długość dyalogów o fortepianie, (akt II) o emancypacyi kobiet, (akt IV) każe mniemać słuchaczom, iż przyszli nie na przedstawienie dramatyczne, ale na odczyty prelegenta w sali ratuszowej wygłoszone.

Komedya pana Kliszewskiego „Małżeństwo jakich wiele", posiada wszystkie cechy Quodlibetu coś w rodzaju „widowiska jakiemu trudno dać nazwisko". Przed laty publiczność gustowała w podobnych utworach, gdzie wszystkiego znaleźć można po trosze, po poważnie wygłoszonych tyradach następowała szalona wesołość, po płaczu śmiech, po rozpaczliwych jękach dowcipne żarciki, ale i wtedy owe oderwane cząstki różnych reminiscencyi a właściwie epizody wyjęte z dzieł rozlicznych autorów, były zawsze wypowiedzianemi oddzielnie, w utworze zaś o którym obecnie piszemy, zlepione są ze sobą dość niezręcznie w jedną całość. Szczęśliwiec którego losy przeznaczenia zapędziły do teatru, ma za swego rubla cały repertuar dawny i nowy, żywcem czasami z biblioteki dzieł dramatycznych wykrojony. Najprzód w ekspozycyjnej scenie lokaja z subretką przypomina się nam molierowski sposób zawiązania intrygi, dalej w rozwoju pierwszego aktu widzimy silne postanowienie autora iść śladami nowoczesnych o tendencyjnym kierunku pisarzów. Rozmowa pomiędzy mężem i żoną drugiego aktu, każe nam mniemać, iż będziemy świadkami sensacyjnej sztuki, gdy niebawem akt trzeci przenosi nas do cienistego parku, kędy po omacku dzieje się mnóstwo nieporozumień, przypominających nam Beaumaché'go. Rad w duszy reminiscencyom z dziejów przebiegłego Cherubinka, zalotnej Rozyny i zazdrosnego Almawiwy, zostajesz nagle siłą woli autora przeniesionym w dziedzinę ogródkowej farsy. Niczego tam nie brakuje ani bezprzestannej bieganiny wśród mroków nocnych, ani wdrapywania się na wierzchołki drzew, ani drżących z braku cywilnej odwagi tchórzów, ani nawet wystrzałów z broni palnej, na szczęście prochem tylko nabitej. I byłbyś niezawodnie śmiał się do rozpuku, gdyby patetyczny ton mowy rozgniewanego niesłusznie męża, nie przeniósł cię nagle w sfery tragedyi lub przynajmniej melodramatu.

Postacie jakie mamy przed oczami, albo są szablonowe i niewykończone należycie, albo też wyzyskane i zużyte od dawna, intryga słaba, dowcip bezbarwny, tuzinkowy; znajomość warunków scenicznych żadna. Widocznie autor stary bywalec w teatrze zachował w swej pamięci mnóstwo usłyszanych szczegółów, ale nie umiał ich powiązać ze sobą i ztąd powstał trudny do opisania chaos, klejonka rzeczy starych, wypłowiałych, branych z drugiej lub trzeciej ręki. W pośród tej mieszaniny różnorodnych a potrącających się co chwila scen, przebłyska tu i owdzie iskierka talentu, ale i ta gaśnie niebawem, przyćmiona zupełnym brakiem twórczości. Takiemi są niektóre zarysy charakterów Charcickiego i Rozpędowicza i wcale dobrze naszkicowany typ subretki Zuzi, niestety owe szczegóły, stanowiące dodatnią stronę utworu, nikną w nieudolnej całości, śladu na sobie nie zostawiwszy.

„Finis coronat opus", powiada przysłowie, otóż ten koniec ma miejsce w ostatnim akcie. Nie sądźcie jednak, ażeby takowy nastąpił przy zapadnięciu zasłony, jak to się zwykle dzieje, nie, pan Kliszewski zakończył akcyę w scenie 3-ej czy 4-ej, a po stanowczem rozwiązaniu intrygi następuje długi szereg epizodów dodatkowych, coś w rodzaju przypisów zamieszczonych na ostatniej stronicy książki. Zwolennicy powieści zwykle owych przypisów nie czytają, publiczność zaś teatralna była wytrwalszą, została bowiem na wyłomie, aż do spuszczenia kurtyny, tłumiąc spazmatyczne ziewania.

„Małżeństwo jakich wiele" odegranem zostało z namaszczeniem godnem lepszej sprawy. Wszyscy bez wyjątku artyści przedstawili wybornie powierzone im role; czyż jednak najwybitniejsze zdolności, najlepsze chęci, najsilniejsza wola zdołają podtrzymać gmach wadliwie przez architekta zbudowany? Gdzie brak zdrowego materyału tam potężne nawet podpory nie zapobiegną smutnej katastrofie

Niestety nastąpiła ona na przestrogę wszystkich tych, którzy nic więcej prócz dobrych chęci nie posiadając, w przedstawieniu podejrzanej wartości utworów scenicznych, szukają łatwych do przewidzenia zawodów i odczarowań.

Jeszcze słówko: Że pan Ignacy Kliszewski napisał słaby utwór sceniczny, dziwić się nie można; każdy bowiem ma prawo przelać na papier swe myśli i luźne notatki, a nawet odczytać takowe w poufnem kółku życzliwych i przyjaciół, zdumieni tylko jesteśmy odwagą, jakiej dał dowód, pozwalając na przedstawienie tej komedyi. Nie równie trudniej nam zrozumieć powody przyjęcia jej przez dyrekcyę teatrów warszawskich. W ostatniem półroczu mieliśmy już kilka podobnie niefortunnych prób, sarkano trochę i na tem koniec; wszystko jednak, nawet cierpliwość zbyt pobłażliwej publiczności zużyć się z czasem może.

Ludwik Niemojowski.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Ludwik nie słuchał jej już i zrywając się z ławki zaczął biedz szybko. Emilia podążyła za nim; tymczasem Thauziat skończył rozmowę, którą prowadził z Heleną.

Młoda dziewczyna skinęła głową Klemensowi poczem zwolna zawróciła się w stronę pałacu. Klemens szedł obok niej w postawie pełnej szacunku i godności. Gdy się zbliżyli, Emilia i Ludwik do-

strzegli, że po ustach Klemensa lekki błąkał się uśmiech, a Helena była poważna i zamyślona.

— Już tak dawno nie widziałeś pan panny de Graville, że miałeś jej oczywiście bardzo wiele do powiedzenia — zaczęła Emilia zwracając się do Thauziata. Chyba z godzinę rozmawialiście na osobności...

— Godzinę? — powtórzył Thauziat z wymownem na Helenę spojrzeniem — nigdybym tego nie przypuścił..

— Widać, że przedmiot rozmowy musiał być niezmiernie ciekawy — przerwał mu Ludwik bledniejąc, nie umiał bowiem ukryć bolesnego wzruszenia.

— W istocie bardzo ciekawy — rzekła Helena z takim spokojem, że Ludwikowi tchu zabrakło w piersiach, gdyż zdawało mu się, że słyszy wyrok gorszy niż śmierć, nakazujący mu bowiem wyrzec się miłości. — Pan de Thauziat mówił mi o moich rodzinnych stronach i o kilku osobach, które znałam dawniej... prosił mnie również o niektóre objaśnienia, jakich mam nadzieję, będę mogła udzielić mu jutro.

— Jutro? — zapytał Klemens.

— Tak, jutro — potwierdziła Helena.

Spojrzenie towarzyszące tym słowom tak było wymowne, że Ludwik pochwyciwszy je wprzelocie, uczuł jak krew gorącą falą bije mu do głowy. Był najmocniej przekonany, że Klemens i Helena zwodzą go i że słowa jakie zamienili w obec niego, podwojne miały znaczenie. Powstrzymał się jednak od wybuchu i drżący, z zaschłemi usty czekał na słowo, któreby usprawiedliwiało jego uniesienie i dozwoliło mu wylać na zewnątrz potok wściekłego gniewu, który palił go jak ogień. Lecz słowo to nie zostało wypowiedziane, gdyż szczęśliwy przypadek zdarzył, że właśnie w tej chwili zbliżył się Lereboulley z panią Hérault.

— Chodźmy teraz do namiotu, gdzie ma się odbyć bal sielski — rzekła babcia i wsparła się na ramieniu Heleny a za niemi podążyli wszyscy.

Główna aleja prowadząca z pałacu w głąb' ogrodu, była oświetlona jak w dzień drutami na których przeprowadzono gaz. Ptaki, zbudzone światłem i szelestem, trzepotały wystraszone między gałęziami. Olbrzymie karpie, zwabione oświetlonemi łódkami, wypływały na powierzchnię jeziora, jakby zdziwione tak wczesnym brzaskiem dnia. W części parku otwartej dla publiczności, przechadzali się wieśniacy i mieszczanie z poblizkiego miasteczka, posilając się przy bufetach umieszczonych pod gołem niebem. Między niemi odbijały jaskrawo mundury żołnierzy z pułku stojącego w Évreux.

Pod namiotem tańczono w najlepsze; orkiestra umieszczona na wzniesieniu przygrywała ochoczo a ze dwieście osób płci obojej, tańczyło po jej dźwiękach. Nie były to jednak tańce wiejskie ale polki i walce, a wszyscy uczestnicy zabawy myśleli o tem żeby swojemi osobami sprawić napatrzących jak najkorzystniejsze wrażenie. Stolarz z Boissise, który chciał zdjąć tużurek dlatego, że mu było gorąco i dowodzić w tańcu trochę głośniej, został surowo zgromiony przez strażnika pałacowego i wyprowadzony z towarzystwa i z daleka jeszcze słychać było jego usprawiedliwienia. Panny w jasnych sukniach przechadzały się parami z nienaturalną jakąś powagą a cała zabawa nie miała tej cechy swobody wiejskiej, jaką takie zebrania odznaczały się dawniej.

Kiedy pani Hérault ukazała się w towarzystwie swoich przyjaciół, powitano ją radosnym okrzykiem. Lereboulley, który musiał przemawiać na każdem najmniejszem nawet zebraniu, wypowiedział króciutką mówkę na cześć rodziny Hérault. Potem z wielkiem umiarkowaniem pochwalił obecną formę rządu i zakończył mowę wyrazem: Rzeczpospolita. Na co orkiestra odpowiedziała mu grzmiąco lecz nie Marsylianką, gdyż strażnik pałacowy, który jako sierżant brał udział w bitwie pod Metz, zapowiedział dyrektorowi wiejskiej orkiestry, aby nie zabawiał się w politykę, gdyż gorzko pożałuje tego, odsiadując nieposłuszeństwo w samotności. Pani Hérault popatrzywszy trochę na bawiących, wróciła do zamku zmęczona.

W wielkim salonie rozpoczęto też zaraz tańce lecz i tu jak pod namiotem, zabawa nie szła ochoczo. Ci, którzyby ją mogli ożywić byli smutni i roztargnieni. Przez dwie godziny jednak, zabawa szła zwykłym porządkiem. Helena przetańczyła kilka razy walca, jakby spełniając nie zbyt miły obowiązek. Thauziat i Ludwik trzymali się na uboczu i żaden z nich nie zapisał się na jej balowym karneciku. Młoda dziewczyna pomimo usiłowania zapanowania nad sobą, była widocznie wzruszona i niespokojna, trzymała się ciągle w pobliżu Emilii, która przemawiała do niej od czasu do czasu o rzeczach zupełnie obojętnych, z przewybornym taktem odczuwając usposobienie przyjaciółki.

Była może godzina pierwsza po północy, gdy dwie młode dziewczyny wyszły na ganek dla odetchnięcia świeżem powietrzem. Noc była cudowna, na ciemno szafirowem tle nieba błyszczały miliony gwiazd, księżyc wzbiwszy się wysoko, srebrzystem światłem oblewał drzewa i krzaki, nadając im fantastyczne kształty.

Lampy na łódkach pogasły a powierzchnia jeziora spokojna i wygładzona mieniła się w blaskach księżycowych, jak roztopione srebro. Zdala dochodziły stłumione dźwięki orkiestry; spokój i cisza uśpionej natury dziwną stanowiły sprzeczność w obec ruchu i niepokoju istot żyjących. Jakieś uczucie nieskończoności przejmowało błogiem zadowoleniem dusze i kazało zapominać o własnych, osobistych cierpieniach. Światła w ogrodzie gasły i muzyka cichła w oddaleniu. Pierś oddychała z rozkoszą czystem, łagodnem powietrzem, oczy błądziły z upodobaniem w przestrzeni, błogie marzenia kołysały serce i wyobraźnią.

Helena i Emilia stały długo nieruchomie wspierając się o żelazną poręcz. Żadna z nich nie przerywała milczenia. Wreszcie panna de Graville westchnęła i Emilia zwróciwszy oczy na swą towarzyszkę, przeraziła się jej bladością i niepokojem malującym się w jej wzroku. Ujęła ją więc przyjaźnie za rękę i łagodnym głosem spytała:

— Czy cię tak bardzo niepokoi to, co ci powiedział pan de Thauziat?

— Tak — odpowiedziała z prostotą Helena.

— Czy wyznał ci, że cię kocha?

— Pytał mię, czy zechcę być jego żoną.

Po tych słowach zapanowało głębokie milczenie. Serce Emilii biło tak przyspieszonem tętnem, że zdawało się, iż chce rozsadzić wątłą pierś. Nadeszła więc ta straszna chwila, której oddawna się obawiała, chwila kiedy jej odwaga i cnota na ciężką narażone będą próbę. Pod względem moralnym czuła się zupełnie spokojną i panią swego rozumu; cierpienie jej nie było tak przykrem jak się tego lękała. Wzniosłe pragnienie poświęcenia i zapał męczeński dodawały jej sił do cierpliwego znoszenia najsroższej w życiu katuszy, bo cóż może być boleśniejszego dla kobiety jak usłyszeć, że ten, którego uwielbia, kocha inną i usłyszeć to z ust rywalki! Ciało jej oburzało się na bezlitosny wyrok przeznaczenia, lecz umysł wyzwolony z więzów materyalnych, wznosił się czysty i dumny ponad poziom zwykłych namiętności ludzkich. Serce Emilii zabiło radością, skoro przeświadczyła się o swej szlachetności a świadomość ta, była jedyną nagrodą wzniosłej duszy skazanej niesłusznie na cierpienia, z powodu brzydkiej powierzchowności i niekształtnej postaci.

Wreszcie Emilia zbierając całą odwagę, pierwsza przerwała milczenie.

— Ludwik kocha cię także — rzekła. — Nie powiedział ci tego nigdy, ale powinnaś wiedzieć o tem.

— Wiem, Emilio, nie jest to dla mnie żadną tajemnicą.

— I to zapewne jest powodem twego niepokoju i troski?

— Bezwątpienia. Nieraz w życiu doznałam cierpień i bolesnych zawodów lecz nigdy nie znalazłam się w tak przykrem jak dziś położeniu. Siłą woli nie poddawałam się zniechęceniu i rozpaczy, odważnie walczyłam z nędzą i pokusami, wiodącemi do złego i nie wahałam się nigdy nad wyborem tego co mi czynić należało. Ale wtedy szło tylko o mnie, postanowienie moje nie narażało ani przyszłości, ani szczęścia innych osób. Kiedy człowiek za siebie tylko odpowiada, czuje się zawsze silnym i wytrwałym, ale kiedy zaciąży nad nim odpowiedzialność moralna, wtedy drży i waha się jaką obrać ścieżkę życia i niepewnie na nią wstępuje. Dziś wieczorem, przez godzinę słuchałam miłosnych słów pana de Thauziat, a od dwóch miesięcy patrzę na pana Hérault, który z każdym dniem silniej jest mną zajęty, a przecież Bóg mi świadkiem, że ani słowem ani spojrzeniem nie wabiłam żadnego z nich ku sobie. Być kochaną przez dwóch mężczyzn jednocześnie, ależ to tryumf o którym marzy niejedna młoda dziewczyna i który wielu kobietom mógłby zawrócić głowę; dla mnie jednak jest powodem ciężkiego smutku. Odpowiedź moja unieszczęśliwi zawsze jednego z nich, napełniając serce odtrąconego goryczą i bólem. W tej chwili nawet pytam się samej siebie, czy nie lepiejby było opuścić raz na zawsze ten dom, w który wniosłam tylko zmartwienie i niepokój.

— Choćbyś się nawet oddaliła, czy to zmieni w czemkolwiek postać rzeczy? Czy mniemasz, że Thauziat i Ludwik nie potrafią cię znaleźć? Chyba, że nie chcesz wyjść zamąż? To zupełnie co innego, odmówisz zatem obydwom i zamiast jednego, dwóch unieszczęśliwisz. Ale jeśli nie postanowiłaś żyć w panieńskim stanie, musisz wybierać. Przyjmij zatem pana de Thauziat, który ci się oświadczył, lub pozwól Ludwikowi wyjawić swoje uczucia.

Emilia ostatnie słowa wymówiła prędkim, urywanym głosem, jakby one dławiły ją w gardle, poczem potarła dłonią czoło i dodała lekko drwiącym tonem:

— Powiedz-że mi, kochanko, czy chcesz koniecznie zostać starą panną?

— Gdym była ubogą i na chleb pracującą dziewczyną, nie myślałam o zamążpójściu, lecz nie mam wstrętu do małżeństwa.

— A więc?

— Nie sądź, Emilio, że wypowiedziałam to wszystko niechcący, owszem zwierzyłam ci się rozmyślnie. Wiem, że pan Hérault nie ma przed tobą tajemnic, przekonałam się o tem w tej chwili, a i pana de Thauziat znasz doskonale, gdyż stosunki szczerej przyjaźni łączą go z twoim ojcem. Ty zaś, kochana Emilio, okazywałaś mi zawsze tyle przychylności, że wierzę w twoje względem mnie

przywiązanie i proszę cię, dowiedź mi tego, oddając mi teraz ważną przysługę. Jestem jak człowiek, który nagle znalazł się w ciemności, wesprzyj mnie twoją światłą radą.

— Ah! tego jeszcze wymagasz ode mnie! — zawołała z szyderstwem Emilia. — Żądasz, abym ci powiedziała, któremu z dwóch pasterzy masz podać jabłko!... To wprost przeciwne sądowi Parysa! A ja jak widzę, mam odgrywać rolę Wenus! Cudowna myśl, słowo daję! Pytasz mnie kogo wybrać, Ludwika lub Thauziat? Thauziat lub Ludwika? Ależ pocóż wybierać? Czy nie lepiej ciągnąć losy lub rzucać pieniądz?

Mówiąc to, śmiała się konwulsyjnie i wreszcie śmiech jej rozpłynął się w gwałtownem łkaniu.

— Mój Boże! Co ci jest? — zawołała panna de Graville przestraszona, chwytając w objęcia Emilię, która była blizką omdlenia.

— Nic! Zostaw mnie w spokoju! — odpowiedziała młoda dziewczyna, odsuwając z lekka swoją towarzyszkę. — Jestem nierozsądna, nie mów do mnie a za chwilę wszystko będzie dobrze.

I szybko zakryła twarz chustką, aby Helena nie widziała jej łez. Panna de Graville zdziwiona i przerażona, nie mogła zdobyć się na słowa, Emilia płakała gwałtownie i aby nie upaść uchwyciła się ręką za żelazną poręcz balkonu, poczem dumnym ruchem obcierając oczy, obróciła ku przyjaciółce twarz bladą jeszcze lecz wypogodzoną.

— Dobrze uczyniłaś, zwracając się do mnie po radę — rzekła spokojnym już głosem. — Nikt nie udzieliłby ci rady szczerszej i bardziej bezinteresownej. Znasz doskonale Ludwika, który przebywa obok ciebie, jest to człowiek niezdolny do obłudy lub podstępu, charakter jego szczery, łagodny lecz słaby. Rozmyślnie nie uczyni nikomu nic złego, a jednak pomimo przywiązania może unieszczęśliwić kobietę. Raz wszedłszy na błędną drogę, nie cofnie się, bo mu zabraknie siły do wypełnienia dobrego postanowienia. Jeżeli podda się dobremu wpływowi, będzie jak najlepszym człowiekiem, lecz biada, jeśli w życiu złych spotka doradzców, wtedy bowiem największe popełniać może szaleństwa. Ludwik to prawdziwe dziecko, które trzeba prowadzić za rękę i które może nie da sobą kierować. Ten drugi... stanowi zupełne przeciwieństwo z Ludwikiem i nie możesz go znać tak dobrze, gdyż charakter jego jest bardziej zawiły i skryty. Kobieta, która mu zaufa i wesprze się na jego ramieniu, może być pewną, że bez troski przejdzie życie, Thauziat nietylko, że ochroni ją od każdego niebezpieczeństwa, ale jeszcze wszystkie siły fizyczne i moralne wytęży w tym celu, aby ją uszczęśliwić, otoczć poszanowaniem i bogactwy. Gdy on powie kobiecie: „kocham cię” i zaprzysięgnie jej wiarę i miłość, gdy powierzy jej honor swego nazwiska, tylko śmierć jedna zwolni go z danego słowa. Thauziat to ideał mężczyzny, skoro on zamierzy sobie cel jaki w życiu, dosięgnie go bezwątpienia. Wśród naszego skarłowaciałego i słabego pokolenia, rzadko spotkać człowieka z tak niepospolitym charakterem i wzniosłym umysłem, to też nie ma przeszkody, którejby on nie przezwyciężył. Dotychczas nic go jeszcze nie zawiodło w życiu; wpływowi jego nikt się oprzeć nie zdoła, lecz władza jego nie może niestety jednego dokazać, nie może cię zmusić, abyś go kochała. Ale zrozumże mnie dobrze, Heleno, mówię ci, że mając wybierać pomiędzy Thauziat i Ludwikiem, nie powinnaś się wahać, nie bądź szaloną namyślając się długo. Na ślepo, z zamkniętemi oczami, jedynie dlatego, że ja ci tak radzę, podaj dłoń Klemensowi. Z nim przejdziesz życie spokojna, szczęśliwa i każda kobieta zazdrościć ci będzie. On kocha cię bezgraniczną, prawdziwą miłością, nie bądźże tak nierozsądną, abyś go miała odepchnąć. Pozyskać miłość takiego człowieka, to najszczytniejsze marzenie każdej wzniosłej duszy. Ty, Heleno, zasługujesz na podobne szczęście, nie odtrącaj go nieoględnie i daj Boże, aby ono stało się radością całego twojego życia.

Emilia ożywiła się mówiąc, purpurowy rumieniec ubarwił blade jej lica, oczy wewnętrznym zapłonęły ogniem. Helena słuchała jej w milczeniu, pilnie uważając na każde słowo. Kiedy Emilia przedstawiła jej Ludwika słabym i bezsilnym jak dziecię, tęskny uśmiech przemknął po ustach Heleny, gdy odmalowała jej Klemensa odważnym i śmiałym, czoło panny de Graville pochyliło się jakby pod ciężarem smutku.

— Dziękuję ci — rzekła — nie zapomnę nigdy dowodu przyjaźni, jaki mi dałaś w tej chwili.

Emilia nie rzekłszy już ani słowa, skinęła głową pannie de Graville i wróciła do salonu; poczem pożegnała panią Hérault, ścisnęła rękę Ludwika i wsparta na ramieniu ojca, oddaliła się szybko. Thauziat odjechał już przed godziną. Po odjeździe pana Lereboulley z córką, zabawa nie szła już tak dobrze i wkrótce wszyscy goście rozjechali się a cisza i spokój zaległy znów Boissise. Podczas gdy Ludwik żegnał ostatnich odjeżdżających gości, babka została sama z Heleną w salonie.

— Prawda, kochanko, jak ślicznie udała się zabawa? — spytała staruszka z zadowoleniem. — Wszystko poszło przewybornie, dzięki wam, coście tak doskonale obmyślili cały program. W istocie trudno życzyć sobie czegoś więcej.

— Czy pani, naprawdę nie pragniesz niczego więcej w życiu? — pytaniem na pytanie odpowiedziała Helena.

— Niczego, drogie dziecię, chciałabym, aby chwila obecna przedłużyła się w wieczność. Jestem bardzo stara i niczego już od życia spodziewać się nie mogę, dla mnie nie ma już przyszłości. Wszystko więc czego mogę żądać jest, aby teraźniejszość nie uległa zmianie... Proszę tylko Boga, abym nie stała się bardzo nudną, żebyście mi z ochotą dotrzymywali towarzystwa i gdy nadejdzie ostatnia chwila mego życia, abyście oboje z Ludwikiem byli przy mnie i zamknęli mi oczy.

— Dlaczego smutnemi myślami zamącać dzień tak wesoły? — rzekła Helena.

— Od ciebie tylko zależy, drogie dziecię, aby myśli moje zawsze były wesołe — odpowiedziała babcia. — Wyrażam ci tylko życzenie, zadowolnij je, od chwili, gdy jesteś przy mnie, wszystkie moje troski znikły i radość jedynie była moim udziałem. Szczęście więc moje po większej części zawdzięczam tobie, a to tak miło w moim wieku mieć spokojny umysł i serce... Przyrzeknij mi, że uważać mnie będziesz jak rodzoną twą babkę i że nie opuścisz mnie nigdy?

Mówiąc to, pani Hérault przyciągnęła Helenę w objęcia, młoda dziewczyna dostrzegła łzy spływające po jej zmarszczonych policzkach i serce jej zadrżało nieznanem wzruszeniem. Przypomniała sobie pierwsze odwiedziny pani Hérault w skromnym jej pokoiku i dowody czułości i dobroci jakich staruszka nie szczędziła jej na każdym kroku i wzruszona osunęła się przed nią niemal na kolana.

— Będziesz miała we mnie córkę — rzekła poważnie — przyrzekam ci to, droga pani.

Pani Hérault pochyliła się i złożyła serdeczny pocałunek na czole młodej dziewczyny.

— Ah! gdybyś to chciała, drogie dziecię — szepnęła.

Helena szybko podniosła się z klęczek, chcąc przerwać przedwczesne zwierzenia babci; w tejże chwili wszedł Ludwik a widząc pannę de Graville obojętnie stojącą w pośrodku salonu, nie domyślił się bynajmniej wzruszenia obydwóch kobiet.

— Czy wszyscy goście już się rozjechali?—spytała Helena.

— Wszyscy — odpowiedział Ludwik.

— Trzeba udać się na spoczynek, pani Hérault musi być bardzo zmęczona.

I szybko powiedziawszy dobranoc Ludwikowi, wyprowadziła babcię z salonu, lękała się bowiem jakich natarczywych pytań ze strony młodego człowieka. Napróżno Ludwik poszedł za panią Hérault aż do sypialni, pocieszając się myślą, że może zdoła przeciągnąć rozmowę i znajdzie sposobność wypowiedzenia swych uczuć pannie de Graville. Lecz Helena z nadzwyczajną zręcznością potrafiła omijać drażliwe tematа w rozmowie i Ludwik przeklinając w duszy nieczułość kobiet, bo przecież Helena musiała rozumiéć jego udręczenia, zły na swoją niedbałość i własną głupotę, udał się do siebie z rozpaczą w sercu. Całą noc nie mógł zmrużyć oka, rozgorączkowany i dręczony niepokojem, wyrzucał sobie po tysiąc razy nierozwagę i obojętność.

Panna de Graville spędziła noc również niespokojnie. Zamiast zasnąć odrazu jak to czyniła zwykle, siedziała na łóżku z szeroko otwartemi oczami, wpatrując się w ciemność, jakby na jej tle przesuwały się wypadki minionego dnia. Znużona i rozdrażniona, pragnęła we śnie szukać ulgi i odpoczynku, lecz napróżno, sen uciekał od jej powiek a burza szalejąca w jej duszy niewysłowione sprawiała katusze.

Widziała Klemensa pochylonego ku sobie i w namiętnych słowach wyznającego jej miłość. Poważna i chmurna nieco twarz mężczyzny rozjaśniała się zwolna odblyskiem uczucia i nadziei i stawała się czarująco piękną. Nie był to już ów Thauziat obojętny i pogardliwy jakiego znała przedtem, ale Thauziat czuły i powabny. Jak wymownie opisywał jej swe cierpienia, które dręczyły go skoro uciekł od niej, mniemając, że oddalenie zatrze w jego sercu obraz Heleny. Lecz zamiast słabnąć, uczucie potęgowało się jeszcze bardziej. Wszędzie towarzyszyło mu wspomnienie Heleny, widział ją nad brzegiem strumieni, na szczycie wyniosłych gór i w głębi lasów. To przekonało go, że obraz jej wyrył się tak głęboko w jego sercu, iż nic go już ztamtąd wydrzéć nie zdoła! Zrozumiał, że przeznaczeniem jego było kochać ją i zaniechawszy bezcelowej walki, powrócił, aby na kolanach błagać ją o wzajemność.

Mówiąc to, pochylał wyniosłą postać i Helena przy blaskach bengalskich ogni widziała chwilami szlachetną twarz, szczerem ożywioną uczuciem i namiętny ogień płonący w czarnych oczach. Klemens mówił prawdę, duma jego zmiękła zupełnie, kochał i szczycił się tą miłością, która uczyniła zeń niewolnika. Helena nie odpowiedziała mu nic na to wyznanie, wtedy Klemens w czarujących barwach odmalował jej swe nadzieje na przyszłość i marzenia o wysokiem stanowisku w społeczeństwie.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

WIADOMOŚCI

Z RÓŻNYCH STRON.

Deszcze i niepogody na jakie słusznie narzekamy, panują w całej Europie. W Niemczech, we Francyi a nawet w Węgrzech, pogodny dzień był prawdziwym fenomenem, a od roku 1861 nie było takiej niepogody w Anglii, jak w roku bieżącym. Wedle bulletynów meteorologicznych obserwatoryum w Greenwichu, w ciągu całego miesiąca Lipca było pięć dni takich, w których deszcz nie padał, a tylko dziesięć dni takich, przez które kilka godzin była pogoda słoneczna. W południowych i wschodnich dzielnicach Londynu Tamiza wystąpiła z brzegów i zatopiła piwnice i parterowe mieszkania; w niektórych miejscowościach poziom wody podniósł się na siedm stóp. Wiele rodzin straciło doszczętnie cały dobytek, towarzystwa dobroczynności odwołują się o pomoc do ofiarności publicznej. Zbiór siana prawie wszędzie przepadł, w Irlandyi zaś kartofle prawie wszędzie zgniły; fakt ten niezawodnie pogorszy jeszcze już i tak ciężkie położenie dzierżawców.

Na dobitkę złego, w Poznańskiem pokazała się szarańcza wędrowna, we wsi Kuszowej w powiecie Wałeckim.

Również donoszą ze Zgorzelic o pojawieniu się w kilku okolicznych miejscowościach szarańczy, która zniszczyła doszczętnie już kilka pól.

Nad wytępieniem szarańczy na polach pod Czerskiem, pracowało przez 3 dni kilkudziesięciu żołnierzy załogi bydkoskiej.

Prócz tego dostawili okoliczni włościanie 40 wozów z ludźmi do skoszenia i zaorania pól.

W okolicy znów Elbląga, skutkiem powodzi wyginęły wszystkie krety.

Rolnicy myślą nad tem, jakby sprowadzić zkądinąd kretów, bo się przekonali, że nie byłoby się namnożyło tyle robactwa, tępiącego zboże, gdyby kretów nie brakło.

Kret albowiem nie jest szkodnikiem, ale dobroczyńcą.

Straszne burze, jakie od pewnego czasu szalały i szaleją u nas, dają się we znaki i za granicą. W całej zachodniej Galicyi ulewy i wichry zrządziły szkody ogromne. Prusy ucierpiały również znacznie. Elbląg przez kilkanaście godzin stał pod wodą. Linia kolejowa z Królewca do Elbląga uległa zupełnemu zniszczeniu. W Prusiech zachodnich i wschodnich, szkody spowodowane ulewą są znaczne, szczególniej zaś na Szlązku pruskim, gdzie rozszalały żywioł poniszczył zasiewy i domy mieszkalne. W Czechach wody wezbrały tak gwałtownie, iż wiele rzek powystępowało z brzegów, a Wełtawa zalała zupełnie wioski Kuchelbad i Modraw, położone w okolicy Pragi. Uległy również klęsce w mniejszym lub większym stopniu: Trautenau, Nowy Bolesław, Sejnil, Reichenberg, Königinhof, Hohenelbe, Kuttenberg, Gablonz, Tabor i Budweis. Nie obeszło się tu bez ofiar w ludziach. Dunaj również wezbrał ogromnie. Nawet w Anglii burze są na porządku dziennym. Angielska izba gmin uchwaliła przeznaczyć 105 funt. szt. na zapomogę dla mieszkańców Isle of Doges i Poplar, którzy wiele ucierpieli od burzy, jaka szalała w nocy ze środy na czwartek. W niektórych miejscowościach woda dochodziła do 9 stóp. W Londynie ulice stały pod wodą przez dzień cały.

Straszne powodzie dotknęły także Meksyk. Przyczyną katastrofy były zwykle o tej porze deszcze, które wszakże w r. b. spadły w niezwykłej obfitości niszcząc wszelkie żniwa, zrywając mosty i tory kolejowe. Najwięcej ucierpiało miasto Leon w stanie Guanajuato, gdzie runęło wskutek podmycia fundamentów 2,200 domów. Z pod gruzów zdołano wydobyć przeszło 200 trupów, a setki zwłok znajdują się jeszcze wśród ruin. Blizko 10,000 osób pozostaje bez dachu i chleba. Ludność amerykańska w sposób dotąd niepraktykowany przyszła w pomoc powodzianom z Leon. Zebrano przeszło pół miliona franków, na które złożyli się mieszkańcy rzeczypospolitej, bez różnicy stanów i przekonań.

Jeszcze przed założeniem szkoły technicznej na kolei wiedeńskiej, w warsztatach tej drogi pracował, jako terminator, 17 letni Karol Borzęcki, zupełny sierota, którym się opiekował znany filantrop ś. p. Wieczorkowski.

Szlachetny opiekun, widząc w chłopcu ogromne zdolności i gorącą chęć kształcenia się w swoim zawodzie, udzielił mu 200 rs. wsparcia i wyprawił za granicę.

Od tej pory minęło wiele lat i o Borzęckim nieliczne kółko znajomych zupełnie zapomniało. Tymczasem chłopiec nie zawiódł położonego w nim zaufania, gdyż z całym zapałem i zaparciem się dążył do wiedzy mechanicznej.

Wędrówka Borzęckiego pełna była najrozmaitszych przygód, ucząc się bowiem, musiał jednocześnie zarabiać na życie, a w ciągu 8 lat pracował w wielu fabrykach i warsztatach kolejowych w Belgii, Niemczech, Francyi, a wreszcie Anglii. Wytrwałość i niezwykłe zdolności pozwoliły samouczkowi na wierzch wypłynąć.

Ostatniemi czasy zajmował on już dość poważne stanowisko w jednej z fabryk szkockich, a będąc na wystawie w Kopenhadze, zabrał znajomość z którymś z przedstawicieli wielkich zakładów putiłowskich.

Obecnie p. Karol Borzęcki wyjeżdża do Cesarstwa, jako dyrektor kotlarni, z pensyą 12,000 rs. rocznie.

Po kilkunastu latach niebytności w kraju, który opuścił jako ubogi i młodziutki terminator, przybył mąż dojrzały i uzdolniony inżynier-technolog.

Wywdzięczając się za pomoc, udzieloną mu przez ś. p. Wieczorkowskiego, dzielny człowiek wysłał już swoim kosztem do fabryk belgijskich dwóch młodych ludzi, a mianowicie: Stefana Jędrzejewskiego i Karola Wernera.

Po wyprowadzeniu tych młodzieńców na samodzielnych pracowników, pan Borzęcki zamierza w dalszym ciągu znowu dwom chłopcom w podobnym zawodzie dopomagać.

Taka spłata zaciągniętego długu zasługuje na wysokie uznanie.

Pewna liczba mieszkańców naszego miasta, otrzymała oryginalny cyrkularz, którego treść dosłownie przytaczamy:

„Berlin, w Maju.

Dużo jest przystojne, młode osoby i dużo jest piękne, młode ludzie ale jedne drugich nie zawsze mogą poznać i dlatego robić maryażu nie są w stanie.

Który Pan, albo która Panna chce zostać szczęśliwą w pożyciu małżeńskiem, powinna korzystać z naszej współudzialności (?) ponieważ kantor Gabryela Glühn już nie jedno przeprowadził małżeństwo.

Nasz kantor posiada adresy młodych Panów, których z przyjemnością ożenią się z młodą Polką, mającą kapitał większy i mniejszy (!).

Refleksye wraz z fotografiami proszę nadsyłać do nas pod adresem i t. d.”

Możemy zapewnić berlińskich zwolenników „większych i mniejszych” kapitałów, że u nas nie znajdą poszukiwanych reflektantek.

Czego to już elegantki dla przypodobania się modzie nie wymyślą!

Obecnie w handlach warszawskich pojawiły się chustki do nosa w kształcie liści.

Najbardziej rozpowszechnione są chustki z jasno zielonego batystu, naśladujące liście palmy wachlarzowej.

Białe batystowe chustki naśladują liście bluszczowe, wawrzynowe, orzechowe i t. p., odpowiednio powiększone.

Na końcu imitującym łodygę, umieszcza się herb lub monogram.

Zdaje nam się, iż kto chce być kompletnym modnisiem, powinien używać... liści naturalnych!

Przed kilku dniami panna F. zmuszoną była poddać się amputacyi nogi.

W r. z. panna F. powracając z Kalisza do Warszawy, całą dobę nie zdejmowała z nóg świeżo kupionego ciasnego obuwia.

Skutki okazały się nader opłakane, panną F. bowiem nabawiła się zwyrodnienia ciała na lewej nodze, którą obecnie postradała.

Jest to smutną przestrogą dla zwolenników obcisłego obuwia.

Niezadługo każde pismo pragnące uchodzić za prawdziwie systematyczne, będzie musiało otworzyć stałą rubrykę dla... cudownych dzieci.

Obecnie ukazała się zupełnie nowa w tym kierunku perła...

Jest to czteroletnia Janinka Wyszeborska, która, jak powiadają, objawia niezwykłe w tym wieku zdolności do śpiewu.

Maleństwo cienkim głosikiem wyśpiewuje rozmaite arye i pieśni...

Ojciec miniaturowej primadonny, piastujący godność stróża domu na Pawiej, zamierza produkować talent Janinki publicznie.

Oby się spełniły jego „złote” zamysły.

Pewne kółko ludzi nie wiedzących snać, czemby się zająć, utworzyło klub milczących.

Członkowie zbierają się dwa razy na tydzień w pierwszorzędnej restauracyi, celem spożycia wieczerzy w zupełnem milczeniu.

Uczestnik, któryby wygłosił podczas posiedzenia więcej jak dziesięć słów, płaci dość wysoką karę, bo 50 kop. za każdy wyraz.

Towarzystwo oryginałów, jak dotąd, nie posiada w kasie ani jednego grosza, pochodzącego z grzywien.

Pokazuje się, że głupstwa angielskie zaczynają się u nas aklimatyzować.

Do dnia 7 b. m. (św. Kajetana) przywiązane jest przysłowie:

Święty Kajetanie,
Strzeż od deszczów sprzątanie,

i na dzień ten zakupywanem bywa stosowne nabożeństwo.

Dnia 10, na św. Wawrzeńca, święcą miód świeżo podbierany, przyczem istnieje modlitewka do tego świętego:

Przez przyczynę świętego meczennika,
Chroń Boże pszczółki od szkodnika.

Również w dniu tym po chałupach zapalają nowe ognie.

Dnia 15 przypada Wniebowzięcie N. Panny, inaczej Matki Bozkiej Zielnej, wtedy święcą się po kościołach zioła, mające następnie różne cudowne właściwości.

Z powodu, że przed dniem tym zwykle kończą się żniwa, lud mówi:

Na wniebowzięcie
Pokończone żęcie.

Do dnia św. Rocha, przypadającego 16, przywiązany jest zwyczaj błogosławienia bydła przez kapłana oraz przepędzania bydła przez miejsca, na których były palone poświęcane ciernie, z racyi, że św. Roch jest patronem od chorób a szczególniej od zarazy morowej.

Na św. Bartłomieja, 24-go, następuje znaczna zmiana temperatury i dlatego lud mówi:

Na świętego Bartłomieja,
Mroźnej zimy jest nadzieja.

Począwszy też od dnia tego gospodarze zmniejszają czeladzi ilość strawy, ztąd przysłowie:

Święty Bartłomi(ej)
Śniadanie przytłumi.

28 w dzień św. Augustyna, rozpoczyna się oranie, jest też dlatego gadka:

Na świętego Augustyna,
Orka dobrze się poczyna.

W wigilię ścięcia św. Jana kopią ziemię pod paprocią, w tem przekonaniu, że tam złoto znajdą, nadto wsadzają tyle gałązek zielonych w ziemię przed domem, ile w domu ludzi zamieszkuje, która zaś gałązka pierwsza uschnie, to sadzący takową umrzeć ma w tym roku.

Święty Feliks, przypadający na 30 b. m. jest patronem chorych dzieci, szczególniej na konwulsye, to też lud składa w ten dzień na ołtarzu świętego gromnicę tak dużą, jak chore dziecko, co ma stanowczo usunąć chorobę.

Renan o kobietach. Znakomity uczony w dziele „Historya narodu izraelskiego" na pierwszych stronicach swej pracy pisze: „Jak wszystko, co jest wielkiego w ludzkości, tak i rodzina powstała przy pomocy okrutnych środków: wierność małżeńska ustaliła się po ukamienowaniu miliona kobiet." Podobno żona Renana przeczytawszy powyższe słowa, zażądała rozwodu, oburzywszy się na oszczerstwo, rzucone przez męża na jej prababki.

* * *

Sprzedany mąż. Sprzedaż dziecka lub żony nie jest nawet w dzisiejszych czasach rzadkością; niejednokrotnie słyszymy o małżonce, przegranej w karty, lub odstąpionej za umówioną sumę, o dziecku nabytem od ubogich rodziców. Mężowie wszakże stanowili dotąd wyjątek, nie sprzedawano ich, bo zwykli sprzedać się sami... W tych dniach jednak pewien wyrobnik w Sheffield, niemogąc znaleźć na miejscu zatrudnienia postanowił wywędrować do Australii, przeciw czemu żona nie protestowała. Na pokładzie statku wyrobnik zapoznał się z młodą dziewczyną, która się w nim zakochała i na wiadomość, że jest żonatym o mało nie odebrała sobie życia. Ale miłość jest pomysłową i przybywszy do Australii, młoda dziewczyna porozumiawszy się z ukochanym, napisała do żony z prośbą, aby jej go... sprzedała. Żona, nienamyślając się długo zażądała za męża 50 fst., cena ta wszakże wydała się zakochanej zbyt wysoką i wreszcie po wymianie kilku listów zdecydowano się na sumę szacunkową 20 fun. szt. i tranzakcya została dopełniona, ku zobopólnemu zadowoleniu stron interesowanych.

* * *

Przytomna Frania. — Franiu, możesz sobie wziąć garstkę cukierków.

— E, niech mi lepiej babcia sama da, bo babcia ma większą rękę.

RÓŻNE MYŚLI.

Sto błędów wypada na jedną prawdę.

Lemontey.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава, 10 Августа 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa. Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.